KAROLINA VON HAGEN,
Szkic biograficzny.

Karolina von Hagen, rospoczynając zaledwie trzeci lustr swego wieku, wystąpiła 29 sierpnia 1828 r., w Munich, rodzinném swém mieście, piérwszy raz na scenę, jako *Afanazya*, w Dramie Kotzebuego: *Hrabia Beniowski.* Rodzice jéj żyli w Rothenburgu, gdzie od trzeciego do dziesiątego roku wychowywaną była, i wtedy dopiéro wróciła z rodzicami do Munich.

Dramatyczny jéj talent szczególnym wykrył się sposobem. Pewien bogaty kupiec w Munich, wielki miłośnik sztuk pięknych, kazał urządzić dla dzieci w domu teatrzyk, na którym małe i do wieku ich stosowne grywały sztuczki. Chciano przedstawić Komedyę Körnera: *Guwernantka*, żadna jednak młoda artystka nie chciała przyjąć na siebie roli staréj guwernantki, i cały układ byłby został zniweczonym, gdyby jedenastoletnia Karolina Hagen, nie podjęła się odrzuconéj roli. Wiédząc że względnie do woli ojca nigdy jeszcze nie była w teatrze, nie wiele wróżono sobie po niéj; ale zaledwie jednę odegrała rolę, jéj naturalność, wesołość, nie jeden szczęśliwy pomysł własnego wynalazku, niesłychany wzbudziły zapał i hucznemi obsypano ją oklaski.

Pani Lange, aktorka Dworskiego teatru, która właśnie co odprawiła swój jubileusz i porzuciła scenę, będąc przytomną jednemu z owych dziecinnych przedstawień, tak została zachwyconą cudną grą Karoliny, iż wszelkich użyła błagań aby nakłonić rodziców do poświęcenia teatrowi rzadkiego talentu córki, i po wielkich trudnościach zdołała nakoniec opór ich przezwyciężyć.

Podjęła się sama wykształcić nową Muz kapłankę. Brała ją jak najczęściéj do teatru, i z prawdziwie macierzyńską miłością nie przestawała przez kilka lat uczyć. Osądziła nakoniec że czas już nadszedł aby

uczennica jéj publiczną dała próbę swego talentu; wybrała dla niéj rolę *Afanazyi*, i w niéj Karolina piérwszy raz wystąpiła na scenę. Lecz że na próbach, młodość i bojaźliwość artystki wznieciły obawę aby się zupełnie nie zmięszała gdy przed obliczem publiczności wystąpi, panna Stubenrauch grająca dawniéj tę rolę, stała na pogotówiu za kulisami, aby na wszelki przypadek zastąpić poczynającą aktorkę. Obawa Karoliny była istotnie tak wielką, iż gdy podniesiono kurtynę, uciékać chciała ze sceny, i byłaby to niezawodnie uczyniła, gdyby czcigodny artysta Eszlair nie zatrzymał ją i nie dodał odwagi. Lecz bojaźliwość ta z piérwszą znikła sceną, a głośne, coraz bardziéj wzrastające pokłaski, towarzyszyły jéj aż do końca. Drugą jéj rolą była *Józefina*, w „Ubóstwo i Szlachetność umysłu,” trzecią *Eliza Walberg*, czwartą *Kasia* w Egmoncie *Göthego*, po któréj przyjętą została do truppy z niewielką gażą.

Następnego zaraz roku zaproszona została do Wiednia, na Dworskim teatrze dziesięć gościnnych rol, z najświetniejszém odegrała powodzeniem. R. 1831 udała się do Drezna, aby jako gość jeden raz tylko wystąpić; lecz zachwycona publiczność, jednomyślnemi oklaski, zmusiła ją prawie, jeszcze we dwunastu innych ukazać się rolach. Z Drezna przybyła do Berlina, i przez siedm wieczorów równe wzbudzała uniesienie jak w stolicach Austryi i Saksonii.

W powrocie do Munich spotkała się ze sławną *Schröder*, a znakomita artystka, poczytała sobie za szczęście udzielić niektórych korzystnych rad, młodéj wychowance Talii. R. 1832, otrzymała powtòrne zaproszenie do Wiednia, z propozycyą przeniesienia się do tameczněj truppy. Dwanaście razy wystąpiła w Wiedniu, a rolę *Donny Dyanny* trzy razy powtórzyć musiała. Zwiedziła potém stolicę Węgier, a na trzydziestu jéj wystąpieniach zawsze liczne tłumy salę zapełniały. R. 1832, powtórnie udała się do Berlina i w dwudziestu pięciu gościnnych rolach jak najpochlebniéj przyjętą była. Wreszcie pod najkorzystniejszemi warunkami umieszczoną została w Królewsko-Berlińskim teatrze.

Z Berlina odbyła artystowską podróż do Petersburga, w ośmnastu rolach z najwyższym przyjęta zapałem, otrzymała zaszczyt że była przedstawioną Cesarskiéj rodzinie, i kosztowne otrzymała dary. Późniéj w rozmaitych czasach czyniła wycieczki do Rygi, Gdańska, Królewca, Magdeburga, Wrocławia, Pragi, Brunświku, Hanoweru i Bremy. Stare przysłowie: „Nie chodź tam drugi raz gdzie cię dobrze przyjęto" nie sprawdziło się na Karolinie Hagen, gdyż przeszłego roku po trzeci raz zaproszona do Wiednia, aby sześć gościnnych rol odegrała, na jednozgodne żądanie uwielbiających ją widzów, musiała aż dziewiętnaście ukazać się razy.

Jeśli Karolina von Hagen słynie jako artystka, mało znajdzie się córek i siostr, coby się podobnie jak ona odznaczały tak rozczulającą wdzięcznością dla matek, tak tkliwém do rodziny przywiązaniem. Że z całéj duszy zamiłowała swoją sztukę, to najmniejszéj nie podpada wątpliwości, bo któż bez tego zamiłowania mógłby tak wielkie uczynić dla niéj ofiary, jakie w istocie ta znakomita uczyniła artystka.

TEATR I KLASZTOR.

(z francuzkiego p. Laurę de Bolsena.)

I.

W zawodzie teatralnym, podobnie jak i winnych, znajdują się talenta których sława żadnego nieobudzi echa; świetne zorza, które, niestety! nigdy jutra mieć nie będą; nie trudno opodobne przykłady. Jeśli z nie zamkniętemi oczyma postępować będziemy ścieszką życia, ujrzymy nieraz gasnącą w jednéj chwili jak najpromienniejszą przyszłość, upadającą śmiałą nadzieję, i będziemy mogli porównać życie do szybkiego przelotu ptaka... przelotu niezostawiającego i śladu po sobie.

Panna Ludwika P* znaną była w teatrze jedynie pod imieniem Sydonii. Takowe zmiany nazwiska, pospo-

licie przypisywane kaprysowi, nieraz bardzo odmienny mają powód: służą na pokrycie boleśnych tajemnic serca. Ludwika była córką rzemieślnika; wiadości jéj nie byłyby się pewno rozwinęły po za szczupły zakres ojcowskiego warsztatu, gdyby ciotka nią się nie zajęła. Dobra ta kobiéta utrzymywała pensyę, a Ludwika często mięszając się do grona młodych Burgundek pobiérających u niéj piérwszą edukacyę, czegóś się więcéj nauczyła; już nawet odznaczać zaczynała się Ludwika wpośród tego roju powabnych dzieci, gdy stolarz przeląkł się przedwczesnego rozumu, który zapewne nieodznaczył piérwszych lat jego dzieciństwa. Była to chwila pełna goryczy dla Ludwiki, i odtąd łzy jéj płynąć zaczęły. Stolarz, w krótkich i oschłych oświadczył wyrazach, że córka rzemieślnika najprostszego nawet nie potrzebuje wychowania, że podobnie jak ojciec, powinna rękami nie głową na utrzymanie pracować. Myśl ta zawiérała rozkaz i Ludwika musiała niezadługo wyrzec się nauczających zabaw swych towarzyszek i macierzyńskich starań dobréj ciotki. Nie dla niéj tam było przeznaczone miejsce; ojciec postanowił aby zdala od niego uczyła się kobiécych robót u szwaczki. Opuścić tę co jéj zastępowała miejsce matki, Ludwika bowiem prawie przy urodzeniu matkę straciła; opuścić wesołe swoje towarzyszki, rozkoszne miasteczko tak powabnie położone nad brzegami Saony, gdzie piérwszych doświadczała kroków, i gdzie piérwszy wyjąkała wyraz, o! jakże było boleśnie dla jéj serca; lecz silniejsza daleko boleść udręczała prócz tego biédne to serce.

Litościwa matka Ludwiki przyjęła na opiekę siérotę. Siérota ten wzrastał, skakał wraz z Ludwiką po wiórach ojcowskiego warsztatu, i węzeł przyjaźni połączył ich oboje. Chłopczyk stał się młodzieńcem; zaczął być wówczas użytecznym majstrowi, i stolarz wkrótce jak własnego uważał syna biédnego siérotę co nigdy nie znał ojca. Lecz jeśli Piotr uczynił postępy w rzemiośle który mu przypadek nastręczył, nie był one winien jedynie zręcznéj swéj ręce, lub uczuciu wdzięczności. W miarę jak wzrastała Ludwika,

Piotr coraz bardziéj kochał siostrzyczkę. Przyjaźń ta zupełnie braterska wreście w miłość się zamieniła. Pewnego dnia, gdy oboje przypatrywali się gałązkom kobei rozpościerającéj ładne swe kwiaty na małéj wystawie, gdzie Ludwika często lubiła przesiadywać z robotą, Ludwika tak piękną wydała się Piotrowi, iż ośmielił się wynurzyć co od dawna czuł dla niéj; a Ludwika odpowiedziała spojrzeniem śpiesznie w ziemię zwróconym. Żywy szkarłat powlókł jéj lica. Piotr uczuł drżące w swych ręku małe rączki dziewczęcia. To wspólne i nieme wyznanie wszystko im wykryło. Piotr piosiadał teraz więcéj niżeli ojca: posiadał rodzinę. Szesnastoletnie serce mu się oddało.

Odtąd nic już do życzenia nie pozostawało Piotrowi. Wiedział że Ludwika będzie jego żoną; wiedział że swoim przemysłem zdoła zapracować na przybranego ojca, gdy starość niedozwoli mu dłużéj trudnić się ciężkiém rzemiosłem. Piotr był więc wesoły, wesoły jak jesteśmy w młodzieńczym wieku, gdy szczęście przedstawia się wyobraźni z całą czystością błękitu pogodnego nieba. Ludwika poświęcała mu wolne swoje godziny, które nie pędziła u dobréj swojéj ciotki, a Piotr korzystał z rozmów przyszłéj małżonki, obiecującéj mu tak błogą przyszłość. Słowem, przybrany syn domu nie był już prostym tylko rzemieślnikiem, umiejącym jedynie posuwać hebel, robić toporem i piłą; Piotr przestał być nieukiem: wykształcił się gust jego, pojęcie rozjaśniły korzystne czytania i powieści które Ludwika tak dobrze opowiadać umiała, których sam stolarz z upodobaniem niekiedy słuchał, mimo okrutnego wstrętu jaki ku wszelkiéj okazywał oświacie.

Piotr i Ludwika żyli szczęśliwi gdy spodobało się stolarzowi zakłócić to szczęście wygnaniem Ludwiki. W tymże samym czasie innego zupełnie rodzaju wypadek wzruszył całe miasto. Przybyła truppa wędrownych aktorów, miano się więc cieszyć przez cały miesiąc widowiskiem.

W małém miasteczku zwykle przybycie teatralnéj truppy wielkie sprawia zaburzenie. Modniś, jeśli lu-

dzie tego rodzaju znajdują się po prowincyonalnych miasteczkach, postrzega przecie jakowyś cel długim godzinom które dotąd na nudach przepędzał. Nie jedna kobiéta z wyższego towarzystwa, pyta sama siebie czy będzie mogła bywać w teatrze bez obrażenia przyzwoitości, bez uchybienia temu co winna światu i pewnym przesądom, zachowującym się dotąd w całéj swéj mocy na prowincyi, czy będzie mogła wykonać toaletowe swoje projekta i użyć zabaw dozwolonych mieszczankom; dewotki wreście podwajają gorliwość, aby przebłagać niebo za gotujące się zgorszenia. Otworzono, wywietrzono, zamieciono, przygotowano teatralną salę na ów dzień wielki. Nadszedł wreście. Kilka aktorek mocno zajęło swoim talentem i pięknością; wszystkie lornetki były na nich zwrócone; zaczęto się ubiegać o bliższą z niemi znajomość. Zaczęły krążyć liczne miłośne liściki. Gorsząca kronika zaszła nawet daléj, bo nikt tak nie lubi rozprawiać jak gorsząca kronika małych miasteczek; wiele kobiét, dotąd szczęśliwych, pożałowało przeszłości. Nabyły gorzkiego doświadczenia, że nie raz to co światową obiecuje nam radość, sprowadza tylko gorycz i zmartwienia.

Piotr został do tego wszystkiego wmięszanym, wyjąwszy namiętności które obudziły aktorki; Piotr zbyt był zakochany, zbyt wierny, aby mógł tak wielki popełnić występek; lecz potrzebowano kilku biegłych rzemieślników do zajęcia się teatrem, i Piotr udał się do widowni z przybranym swoim ojcem. Stary stolarz poprzestał na kilku przestrogach, koniecznych do nowéj czynności, potém polecił całą pracę Piotrowi. Może dla tego tak postąpił aby oddalić Piotra od córki gotującéj się do wyjazdu. Piotr istotnie nie tak często znajdował się odtąd przy Ludwice; zajmował się jak najmocniéj tém co dawniéj znał tylko ze słyszenia, nieopuszczał żadnéj próby i tygodniowych reprezentacyi, z namiętnym zapałem od którego nic oderwać go nie mogło. Ludwika nie zgadując prawdziwego powodu długich nieobecności Piotra, postrzegła że był smutnym i zamyślonym. Naiwna dziewczyna przy-

pisywała to zmartwienie blizkiemu rozdziałowi. Ale w wilię odjazdu dowiedziała się o wszystkiém. Córka stołarza siedziała w sklepie obok Piotra; okno było zamknięte, noc już zapadała; ojciec wyszedł: byli swobodni i sami. — Bardzo jestem nieszczęśliwa, — mówiła Ludwika, — jadę, i w chwili gdy najbardziéj potrzebuję widziéć ciebie, ciebie właśnie nie ma; wtedy kiedybym chciała ciągle cię słuchać ty schylasz głowę, ty nie przemawiasz ani jednego wyrazu coby do serca mego przeniknął... — Piotr milczał. — Czy zmartwienie tak cię udręcza, przyjacielu?... Trzeba odwagi... trochę odwagi, wszak prawda?... A ja cię jeszcze śmiałam zasmucić!... — I Ludwika złożyła ręce: przypatrywała się kochankowi, łza toczyła się po jéj licach. Nagle, jak gdyby natchniona że zdoła pocieszyć, rzuciła mu się miłośnie na szyję. — Słuchaj, słuchaj, — rzekła, — zabawy potrafią rozpędzić, uśmierzyć boleść.... dla tego można nie zapominać o przyjaciołce.... Niezapominaj więc o mnie... a niech twoi aktorowie i widowiska zawsze cię zachwycają. — Ostatnie te wyrazy przebudziły Piotra z przykrego zadumania, letargu prawie, uniesiony zapałem, ściskając w obłąkaniu wysmukłą kibić Ludwiki, zawołał: — Ach! gdybyś ty była aktorką!... Gdybyś była aktorką!... — Aktorką! — powtórzyła Ludwika z wyrazem oznaczającym aż nadto jak smutne zrobiła odkrycie. — Tak... aktorką, piękną i obsypywaną pochwałami... Co za szczęście dla tego któregobyś kochała!... — Ludwika już miała mu odpowiedziéć, gdy drzwi sklepu z lekka zaskrzypiały i otworzyły się. Wszedł stolarz. — Jeszcze to nie w łóżku, — opryskliwie odezwał się do Ludwiki; wszak jutro musisz wstać rano i odjechać — Ludwika wstała jakby ożywiony posąg. Machinalnym posłuszeństwem schyliła czoło przed ojcowskim pocałunkiem; potém rzuciwszy na Piotra dziwne wejrzenie, odważnie poszła do swego pokoiku. Zadrżał Piotr na spojrzenie Ludwiki; zrobił poruszenie jak gdyby chciał ją zatrzymać. Lecz stolarz rzekł mu cierpko: — Czy nie będziesz miał czasu pożegnać się jutro?...

Nazajutrz Piotr czekał w izbie po za sklepem. Dobra ciocia siedziała przy nim. Ojciec piosenkę wygwizdywał. Ludwika jeszcze nie zeszła. Wkrótce usłyszano jéj kroki: odwaga błyszczała na twarzy biédnéj wygnanki; lecz była to udana odwaga, mogąca zniknąć w jednéj chwili. Czuła to zapewne Ludwika, gdyż skróciła swe pożegnanie: pozostała jednakże przez dwie lub trzy minuty z głową pochyloną na łonie ciotki. Jedynie dla ukrycia śladu łzy, któréj pomimo wszystkich wysileń wstrzymać nie mogła. Rzekła do Piotra. — Miéj odwagę ... — a potém — będziesz miał staranie o kobeach rosnących przed wystawą. — Piotr tylko skinął i nic nieodpowiedział... Język jego zdrętwiał. — A co! czy prędko tam skończycie?... — Te twarde i oschłe wyrazy przerwały pożegnanie serc, które ślepa a może złośliwa wola na długo rozdzielała, elektryczne prawie przebudzenie sprawiły na umyśle Ludwiki: chwytając natychmiast za rękę ojca zniknęła z nim na ulicy. Stolarz sam jeden chciał jéj towarzyszyć aż do powozu.

II.

Długo płakała dobra ciotka; Piotr ją pocieszał. Pocieszali się wzajemnie. Nie powrócił jeszcze stolarz i Piotr miał czas udać się do pokoiku Ludwiki. Pobiegł jak gdyby na skrzydłach. Kilka gałganków rozproszonych było tu i owdzie po podłodze; pochwycił je Piotr i ucałował namiętnie. Kobea błyszczała w roztwartém oknie. Poszedł Piotr przy niéj usiąść. Jedna z latorośli całkiem była zwiędła. Łodyga jéj zdawała się umiérać; białawe kwiaty jeszcze tylko przez kilka godzin żyć miały, przez dzień może najwięcéj. Piotr zaczął się im smutnie przypatrywać. Wkrótce postrzegł pomiędzy liściami coś białego i zgniecionego, niepodobnego bynajmniéj do kwiatu; schylił się; był to zwinięty papiér, wilgotny rosą lub łzami. Niecierpliwie go otworzył; i z największem podziwieniem wyczytał te słowa niepewną skreślone ręką. — Gdy życzémy sobie tego co nie mamy, trzeba czekać... Może urojenia sobie życzysz... lecz miéj nadzieję. —

Piotr przypomniał sobie wówczas wczorajszą rozmowę. Długo nad tém rozmyślał, pytał stolarza o ostatnie słowa które wyrzekła Ludwika. Stolarz, jeszcze opryskliwszy jak zwyklé, oburknął go tylko: nazajutrz nie było już o tém ani wzmianki. Piotr nie śmiał, a ojciec biednéj dziewczyny uczynił sobie niejako powinność oddalać wszelkie wspomnienie o swém dziecięciu. W kilka tygodni okoliczności zmusiły jednak stolarza nią się zająć. Odebrał list od szwaczki, donoszący iż Ludwika nie przybyła jeszcze. — Co to znaczy?—rzekł zimno, jak gdyby o najprostszy chodziło wypadek. Wkrótce otrzymał rozwiązanie zagadki: odebrał drugi list w kilka minut po piérwszym; był od Ludwiki. — Wybacz, ojcze, — mówiła, — stałam ci się nieposłuszną; lecz tak koniecznie było potrzeba. — Piotr przytomny temu czytaniu, zawołał w stanie niepodobnym do opisania: — Jakto... aktorką?... — Na to stolarz z szyderczym uśmiechem; — Zawsze ci komedyanci jemu w głowie!...—Potém prostując się, rzekł gniewnym głosem jak drugi: — „Bądź co chce, przeklinam ją!!

III.

Rok już upłynął jak zbiegła Ludwika opuściła dom ojcowski, odtąd nic o jéj losie niewiedziano. Piotr w głębi serca zamykał zmartwienie; stolarz zawsze był jednaki, zawsze milczący, zawsze obojętny.

Nowe dramatyczne odwiedziny zaburzyły powtórnie Burgundzkie miasteczka. Tą razą nie sam tylko talent aktorów był przedmiotem wszystkich rozmów i szeptów. Podczas prób teatr był zamknięty. Jedna z aktorek szczególniéj jak największą żyła otoczona tajemnicą, nikt dotąd nie widział jéj twarzy, a mówiono jednak że była bardzo piękna. Gdy pytano aktorów o to nieodgadnione bożyszcze, odpowiadali grzecznemi lecz nic nieznaczącemi słowy; nieustawały téż plotki; nigdy wędrowna truppa nie dostarczyła tyle przedmiotu do komerażów. Piotr słyszał o tém wszystkiém, chociaż go to w cale nieobchodziło. Jednak i on uczuł zakaz

i tajemnicę; stawił się przed Dyrektorem aby pełnić swój obowiązek stolarza maszynisty; odmówiono mu. Stolarz stawał się coraz surowszym, bardziéj grubijańskim niż zwykle; tego właśnie dnia, gdy tak bez żadnego powodu odmówiono Piotrowi, wziął niedzielny swój surdut, kij wędrowny, i puścił się w podróż któréj nieoznaczył kresu. Piotr starał się odgadnąć przyczynę jego podróży i swego wyłączenia z teatru, gdy w tém list mu oddano... List do niego! Piérwszy raz w życiu list odbiérał. Otworzył go nieciérpliwie. Zawiérał w sobie bilet do zamkniętéj loży na piérwsze przedstawienie. Zdziwił się, i bez wahania poszedł natychmiast do swojéj pocieszycielki codziennéj, do dobréj ciotki. Lecz zaledwie oddał jéj niewytłomaczony podarek, i ona pokazała mu karteczkę, na któréj nieznana ręka nakréśliła te słów kilka: *Bądź pani dzisiaj w teatrze.* — Co to ma znaczyć? — rzekł Piotr zdziwiony. Ciotka pomyślała przez chwilę, potém żywo odpowiedziała. — Piotrze, trzeba pójść.

Zaledwie zapalono żyrandol już sala była pełną. Wyszukane stroje błyszczały po lożach, młodzież cisnęła się na parterze; szepty odbywały się z całym zapałem sprzeczek, gdyż każdy chciał odgadnąć zagadkę, którą Dyrektor i Aktorowie podali do rozwiązania Publiczności. Jeden tylko punkt sali był milczącym: loża Piotra, któréj szyby zupełnie wnętrze zasłaniały. Nadaremnie patrzali natrętni, widzieli tylko dwie ruchome sylwetki, młodego rzemieślnika i dobréj staruszki; nic więcéj. Lecz dano znak, przysposabia się orkiestra, uwertura ma się zacząć.

Nadaremnie by mnie pytano jaka była sztuka, jéj autor, kompozytor muzyki; zupełnie o tém zapomniałém.

Aktorka, która dotąd tak zupełne zachowała inkognito, miała ukazać się w trzeciéj scenie. Zjawiła się śród najuroczystszego milczenia. Chód jéj był nieśmiały, głowa bardziéj schylona niżeli wymagał charakter roli. Gdy się zbliżyła na przód sceny, można było postrzedz iż pomięszanie i wzruszenie rumień-

cem bladość jéj pokryły. Młoda ta osoba, gdyż bardzo wydawała się młodą, była powabna, ładna, wysmukła; włosy miała cudnie piękne, czarne jak krucze skrzydła, dziwnie dobrze odbijały od bladości płci jéj prawie przezroczystéj. Odpowiedziała nieśmiele na kilka zapytań grającego z nią aktora, i natychmiast oschłe szepty wzniosły się z parteru aż do loż, a z zamkniętéj loży wychodziły jakieś niezrozumiałe dźwięki, łkania prawie. Potém Sydonia zaczęła śpiéwać wielką aryę, wlepiając spojrzenie w zamkniętą lożę; wówczas potężna ręka spuściła gwałtownie okno, a podeszła kobiéta i młodzieniec zawołali z największém wzruszeniem: *to ona! to ona! to Ludwika.* — To córka stolarza, — powtórzono wówczas w lożach i na parterze. Aktorka niemogła śpiéwać, płakała. Miała jednakże dość mocy iż skończyła swoją aryę; lecz wtedy dopiéro gdy loża była próżną. Podczas między-aktu Piotr i ciotka Ludwiki byli w loży Sydonii. Aktorka całowała nieoszacowaną kobiétę płaczącą z radości, ściskała drżącą rękę Piotra, i mówiła mu: *chciałeś aktorkę za żonę... jest żeś zadowolniony? jest żeś szczęśliwy?*

Sztuka w któréj grała Sydonia ogłoszoną była i na dzień następny, jeszcze większe jak wczoraj cisnęły się tłumy. Sydonia jednakże pragnęłaby się nieukazać. Dowiedziała się że ojciec dom swój opuścił, i przypisywała dobrowolne to wygnanie swojemu przybyciu do rodzinnego miasta. Odwiedziła także swój pokoik, gdzie tak miłe pędziła chwile; obejrzała kilka pamiątek pozostałych po matce; czuła się smutną, udręczoną. Tak to zwykle opłacamy krótkie dni szczęścia; lecz Dyrektor miał prawo rozkazać, trzeba było wystąpić. Sydonia ukazała się na scenie. Tego wieczora włożyła nieco ružu; tak była słabą! Piotr objął znowu zarząd maszyneryi. Aktorka zaczynała ten sam śpiéw, wczoraj tak dramatycznie przerwany; kochanek stojąc za kulisami patrzył na nią w zachwyceniu; — Już kończyła, gdy okropny łoskot i straszliwy jęk wydobyły się z tego miejsca. Sydonia chciała się odwrócić, lecz pozostała nieruchoma, i śpiéwała

daléj ze drżeniem, starając się zachować spokojność, któréj nikt niedzielił, ani w lożach, gdzie kobiéty obłąkane oczy zasłaniały rękoma, ani na parterze, gdzie się dawały słyszéć krzyki i mowy przerywane, ani za kulisami, zkąd okropne, złowieszcze wychodziły wyrazy. Wreście Sydonia, czyniąc gwałtowne poruszenie, jak gdyby spowodowane spuszczeniem wyprężonéj sprężyny, obróciła się raptem ku miejscu zkąd cały ten nieład pochodził. Człowiek jakiś leżał rozciągnięty na podłodze, głowa jego była zgruchotaną. Sydonia rzuciła się na martwe zwłoki: — *Ach Piotrze!* — rozdzierającym krzyknęła głosem, — *Piotrze, straciłam cię!*

Po dwudziestu czteru godzinach, wedle przepisu prawa pogrzebny kondukt udawał się na smentarz. Chowano młodego stolarza, któremu wczorajszego dnia belka oderwana od maszyneryi roztrzaskała głowę. Ludwika ani jéj ciotka nie szły za pogrzebem. Mówiono że aktorka zerwała układ z Dyrektorem i opuściła już miasto.

IV.

W kilka miesięcy po tych wypadkach, znajdowałam się w Lugdunie, w kościele Panny Maryi. Żaden cel niepowodował mną gdym przyszła uklęknąć na zimnéj przybytku posadce, nawet ciekawość. Jednakże obrzęd, mający się tam dnia tego odbyć, zwabiał mnóstwo ludzi. Kościół uroczysty przybrał pozór; organy pobożném odzywały się brzemieniem; promień słońca przez różnobarne przedzierając się szyby, dziwném światłem powlekał mnogie pozłoty kaplicy. Duchowieństwo licznie było zgromadzone, a i miłe śpiéwy zakonnic wychodziły z pozakratowanego chóru. Niedługo otworzyła się krata; młoda dziewica w bieli wyszła cała ozdobna światowym zbytkiem. Ofiara miała się odbyć: młoda dziewica przyjmowała zasłonę zakonną.

Mocno mię zajęła ta scena; uważnie zaczęłam przyglądać się dziewicy poświęcającéj się Bogu i osobie służącéj jéj za matkę chrzestną. Lecz obie tyłem były do mnie obrócone. Zadrżałam jakowémś niewypowie-

dzianém uczuciem ciekawości; gdybym śmiała, byłabym się zbliżyła aby zapytać o przyczynę głębokiéj boleści, objawiającéj się podczas tak wielkiéj ofiary. Gdym chciwie śledziła nieznajomą, zdającą się mnie unikać, zaczęła się ceremonia. Kapłan zdjął zasłonę, a najpiękniejsze czarne włosy spłynęły po barkach dziewicy. Upadły pod nożycami na ziemię; ofiara wówczas uczyniła lekkie poruszenie, bo matka jéj chrzestna okropny krzyk boleści wydała, i w téj chwili obie na siebie spojrzały; wtedy mogłam je poznać.... Czarno-włosa dziewica była córką stolarza, aktorką Sydonią, matka jéj chrzestna tą, co tak opłakiwała zbiegłę, co tak się cieszyła jéj powrotem.

Wyszłam z kościoła z tą myślą, że szczęście w swoim obiegu tak jest niestałe, że nas odwiedza przez jeden dzień, przez godzinę, a potém na zawsze zapomina.

Dowiedziałam się późniéj że ojciec zakonnicy Sydonii jak najspokojniéj cios ten przyjął; powiedział raz nawet: — Tak być musiało wszakżem ją przeklął. — Odtąd téż człowiek ten żyje jak parias w rodzinném swojém miasteczku; okropna jego nieubłagalność zakreśliła w około jego osoby i domu granicę, któréj najodważniejsza przyjaźń przestąpić nawet nie śmie. Na własném czole nosi piętno potępienia, które chciał wyryć na czole swego dziecięcia.

ROZMAITOŚCI.

— Z ŻYCIA MALIBRAN GARCYI. —

Sławna ta, zbyt wcześnie, niestety! sztuce wydarta śpiéwaczka, przybyła r. 1829 do Anglii. Miała jako Malibran Garcja piérwszy raz wystąpić podczas muzykalnéj uroczystości w Birmingham, na ktorą także zaproszono znaną Miss Paton. Ta ostatnia, bardzo naówczas w modzie, pod każdym względem otrzymywała pierwszeństwo. Nietylko dozwolono jéj wybrać podług upodobania sztuki które miała odśpiéwać, zostawiono jeszcze własnéj jéj woli, ile ich śpiéwać sobie życzy; gdy Malibran przeciwnie ani jednéj ani drugiéj nie uzyskała łaski. Cierpliwie zniosła śpiéwaczka tę niesprawiedliwość, gdy nakoniec przyniesiono jéj pewnego poranku programat koncertu, mającego być danym tego wie-

czora, w którym przeznaczono jéj tylko dwie, zaś Miss Paton aż sześć aryj. Tego już było za wiele. Pobiegła do zgromadzenia Dyrektorów, i żądała być im przedstawioną. Odmówiono jéj; lecz mocno przedsięwziąwszy dopiąć swego celu, sama otworzyła drzwi od pokoju, i obróciła się do zdziwionego zgromadzenia, z zapytaniem: Panowie czyście nieodzownie uchwalili programat? — Dyrektor potwierdził zapytanie.

„Wcalem się czego innego spodziéwała, Mości Panowie! Przeznaczono mi tylko dwie nic nie znaczące śpiéwki; Miss Paton przeciwnie sześć sztuk największych. Sława Miss Paton na zawsze już jest ugruntowaną, — ja zaś moją dopiéro ustalić muszę. Od mojego tutejszego przyjęcia zależeć będzie przyjęcie w Londynie. Panowie niszczycie wszelkie moje widoki na przyszłość. Nię żądam od was żadnéj łaski, wymagam tylko sprawiedliwości. Pragnę pozyskać te same prawa co Miss Paton. Każecie mi występować w roli Romea; dobrze! Ale, w Poniedziałek — Romeo, we Środę — Romeo, we Czwartek — Romeo, Romeo i zawsze Romeo, Publiczność powié że nic więcéj nie umiem śpiewać tylko Romea!”

Dyrektor starał się ją uspokoić, wykręcał się jak mógł, rozmaite czynił jéj przyrzeczenia, na tém jednak zawsze kończył, iż programat znajduje się już w ręku Publiczności, i całkiem od niego nie zależy.

„Wybornie moi Panowie! — odpowiedziała znowu, — popełniacie niesprawiedliwość i nie chcecie jéj naprawić. Niechaj Miss Paton śpiéwa swoje sześć aryj, lecz dozwólcie mi podobnąż liczbę, wszak to jeszcze bardziéj programat powiększy.”

Dyrektor ruszył ramionami.

„Nie chcesz Pan? Dobrze! sama więc sobie uczynię sprawiedliwość.”

Po tych słowach opuściła zgromadzenie, z podziwieniem na nią spoglądające.

Nadszedł wieczór. Teatr przepełniony był wyborem najlepszego towarzystwa. Zaczął się koncert. Najprzód śpiéwał Philipps, potém Braham, następnie Miss Paton. Ukazała się nakoniec Malibran. Przyjęły ją głośne radości okrzyki. Śpiéwaczka, zdziwiona tak świetném powitaniem, stanęła jak gdyby skamieniała, założywszy ręce na piersiach i spuściwszy w dół oczy. Wkrótce jednak przyszła do siebie, i srebrzystym swoim głosem, z uroczną swoją metodą zaczęła śpiéwać Aryę Rozyny Rossiniego: *Una voce poco fa.*” Takowych tonów, takowych rulad, takowéj mocy głosu, połączonéj z najsłodszą melodyą, nie słyszano jeszcze nigdy wychodzących z piersi Angielskiéj śpiéwaczki. Poklaski grzmiały po poklaskach, a gdy po skończonéj aryi ukazał

się Mori, Dyrektor orkiestry, aby Malibran odprowadzić, zaczęto tak hałaśnie i jednozgodnie żądać powtórzenia, iż Mori zmuszony był oddalić się. Wystąpiła Malibran, podziękowała ukłonem, poskoczyła potém w głąb sceny, przyniosła sobie krzesło, usiadła do fortepianu, skinęła na orkiestrę aby umilkła, i po krótkich preludiach, sama sobie akompaniując, zaczęła odśpiéwaną już raz aryę. Wykonywając przedostatnie akorda, zatrzymała się chwilę, rzuciła spojrzenie w zakąt gdzie stanął Mori, z uśmiéchem skłoniła ku niemu głowę, i natychmiast zaczęła, z wielką radością słuchaczy, z przerażeniem i podziwem osłupiałego Dyrektora, nowy śpiéw, i to jeszcze Hiszpański. Skończywszy powstała aby odejść; lecz Publiczność nie chciała się z nią jeszcze rozstać. Parter, loże, galerye, ubiégały się w poklaskach; Mori wystąpił powtórnie wyprowadzić śpiéwaczkę ze sceny, przyjęły go sarkania i gwizdania. Ośmiélona Malibran, przyjaznêm spojrzeniem i pełném wdzięku poruszeniem ręki, uczyniła mu znak aby odszedł, i znowu przed instrumentem zasiadła. Prześpiéwała Niemiecką, Francuzką i Angielską piosnkę. Wszystko to tak wiele czasu zajęło, iż Miss Paton z zapowiedzianych sześciu aryj zaledwie dwie odśpiéwać mogła. Gdy Malibran skończyła i wyszła za scenę, otoczyli ją wszyscy prawie wówczas przytomni tam Artyści, składając jéj swe hołdy i powinszowania. Sam Dyrektor potęgą śpiéwu zwyciężony, nie mógł się wstrzymać aby jéj szczęścia nie życzył, dodając: „Aleś nam jednak Pani pięknego figla wypłatała” — Czyż nie powiedziałam że sama sobie wyrządzę sprawiedliwość? z lubym dodając uśmiechem: — Widzisz żem dotrzymała słowa.”

KULISSY TEATRALNE.

(*Z francuzkiego p. Montigny.*)

Lesage! przybądź mi na pomoc, użycz nici cobymnie wiodła po zawiłym labiryncie w który się zapuszczam! Kurtyna kryje Publiczności daleko zabawniejsze sceny, niż te co jéj za pieniądze pokazują. Szkic tego zamętu mógłby przedstawić wesołe szczegóły: sprobujmy go skreślić.

Weźmy chwilę w któréj zapuszczono kortynę i przypatrzmy się tym wszystkim maskom. Potworzyły się gruppy; Aktorowie skończonéj sztuki, jak najprędzéj pragnąc pozbyć się przymusowych kostiumów, śpieszą do garderoby; najskorsi z tych co się mają ukazać, czekają póki na nich kolej nie przyjdzie; niektórzy, (a tych mała bardzo liczba), zdają się rol swoich uczyć; lecz to w ogóle zły ton oznacza i trąci parafiańszczyzną; trzeba wszystko umiéć nie ucząc się niczego; z resztą, dosyć raz odegrać rolę, bąć jak chce, aby się mniemać wolnym od przyuczania się jéj nadal.

Tutaj zbiegło się grono w około Aktorki lub Tancerki będącéj w modzie; ubiégają się o jedno jéj spojrzenie, żebrzą jednego słówka; szczęśliwy śmiertelnik którego wydobędzie z tłumu przemawiając doń nic nieznaczący wyraz; szczęśliwszy ten któremu każe trzymać chustkę w chwili wyjścia na scenę, lub oprze się na nim przez minutę aby zawiązać wstążkę u trzewika!

Z jednéj strony nucą aryjkę, z drugiéj deklamują urywki monologu. Tymczasem maszyniści zmiéniający dekoracye, krzyczą i wołają na siebie z gzymsów i pod sceny; Reżysser uprzedza że zaczną niedługo; Dyrektor przechadza się poważnie, darząc w około opiekuńczym wzrokiem, lub starając się uniknąć natrętnego Autora, co się naprzykrza aby choć raz jeszcze wystawiono jego sztukę, lub Aktora mającego zawsze jaką prośbę do niego, lub wreszcie Amatora, ktory chce się koniecznie dowiedzieć jaki będzie repertoar przyszłego tygodnia.

Nieustannie brzmi szmer płaskich grzeczności, dowcipnych lub uszczypliwych słówek, żarcików, wymówek, wyznań, niedorzeczności; a nawet niekiedy słychać i przysięgi wierności!.... kłócą się, godzą, porzucają, dokuczają sobie, gniéwają się. Służba jednak się odbywa: illuminatorowie nie spuszczają oka z kinketów, schodzą się komparsy i spacerują dumnie w zwyczajnych kostiumach, w jakie chwilowo ich przystrojono; Baletmistrz każe Tancerkom swoim powtarzać niektóre skoki, a Autor sztuki wskazuje Aktorowi tępego pojęcia, słowo lub giest którym effekt sprawić może. Doktor Teatralny żwawo rozmawia z Aktorką wystawiającą niewiniątko, która mu szepcze do ucha; kostiumowy kraniec słucha młodego kochanka, uskarżającego się że nie dość zręcznie potrafił pokryć uchybienia jego kibici; piérwsza Aktorka wychodzi wreszcie z garderoby, w towarzystwie dwóch garderobianek, piękna nabytemi wdzięki, i zaczyna probować tryumfów jakie odnieść ma na scenie. Ona to zawsze najdłużéj na siebie każe czekać.... Spóźniono się; Publiczność się niecierpliwi i stuka: pytają „czy wszyscy już obecni?" — Reżysser przerywa najroskoszniejszą rozmowę. Spędza wszystkich ze sceny za kulissy: wołając: „Na miejsce" klaska w rękę. Grają uwerturę: tłum natrętów, składający się zwykle z Autorów, Malarzy, Maszynistów, kilku Amatorów nieodstępnych sceny, Aktorów niegrających, cofa się nagle za kulisy; Aktorowie przygotowywują się jak najlepiéj wejść na scenę; podnosi się kurtyna, wszystko się ucisza, sufler już zasiadł w swojéj budce, sztuka się zaczęła. —

Uwiadomienie. Dla nieprzewidzianych przeszkod portret dołączony będzie do Nr. 12, wraz z muzyką należną do tego numeru.